

Niektórych nie da się złamać

Z Mariną Adamowicz, żoną białoruskiego więźnia politycznego Mikołaja Statkiewicza, rozmawia Martyna Kwiatkowska

MARTYNA KWIATKOWSKA: Pani mąż Mikołaj Statkiewicz od prawie dwóch i pół roku jest w białoruskim więzieniu. Od dawna zajmuje się polityką?

MARINA ADAMOWICZ: Kawał czasu, od końca lat osiemdziesiątych. Był wówczas podpułkownikiem, pracował w wyższej szkole dla wojskowych. W tym czasie żył jeszcze ze swoją pierwszą rodziną, ja jestem jego drugą żoną. Wszystko wskazywało na to, że uda mu się odnieść sukces, miał już w planach habilitację. Doszedł jednak do wniosku, że zamiast robić karierę, powinien walczyć o niezależność Białorusi i białoruskiej armii. Już parę lat później, w 1991 roku, kiedy doszło do puczu Janajewa i uwięziono Gorbaczowa na Krymie, Mikołaj dostał się jakoś do studia białoruskiego radia i wezwał naszych żołnierzy, żeby pod żadnym pozorem nie wypełniali rozkazów puczystów. Na taki gest zdobyła się wówczas w całym Związku Radzieckim tylko dwójka oficerów – w Rosji Aleksander Ruckoj, a na Białorusi właśnie Mikołaj. Od razu go aresztowali i oskarżyli o zdradę ojczyzny. Nie było żadnych wątpliwości, że za coś takiego groziła mu kula w łeb. Nie rozstrzelali go tylko dlatego, że nie zdążyli – po dwóch dniach pucz upadł, a o sprawie zapomniano. Właśnie wtedy, w sierpniu 1991 roku, Mikołaj założył Związek Białoruskich Wojskowych i to

oni zaczęli zabiegać o utworzenie niezależnych białoruskich sił zbrojnych. Parę lat później, w połowie lat dziewięćdziesiątych, powołał do życia Białoruską Partię Socjaldemokratyczną. Ile się nacierpieliśmy przy tym wszystkim, ile razy próbowano zniszczyć naszą partię, doprowadzić do rozłamu – trudno aż o tym opowiadać.

A Pani też jest tak zaangażowana w politykę?

Nie jestem jak mąż liderem żadnego ugrupowania, ale jestem aktywna, można tak powiedzieć. Uczestniczyłam w słynnych Dziadach w 1988 roku, w pierwszej pokojowej demonstracji na Białorusi, którą rozpedzono. Od tego czasu biorę też udział w wielu innych akcjach.

19 grudnia 2010 roku, kiedy po wyborach prezydenckich omonowcy i milicja rozpędzali na placu Październikowym demonstrujących, Pani też tam była. Staliście wtedy razem z mężem?

Nie, poradzono nam się rozdzielić. Starałam się nie tracić Mikołaja z oczu, ale byłam kawałek dalej, z przyjaciółmi z partii trzymaliśmy się mocno za ręce. To, co wtedy mówił Aleksander Łukaszenka, nie pozostawiało u mnie cienia wątpliwości, że niczym dobrym to się nie skończy. Umówiliśmy się, że bez względu na wszystko nie uciekniemy

z placu, nie puścimy rąk, że wytrzymamy. Zgubiłam gdzieś Mikołaja, dopiero kiedy na placu zaczęło się piekło. Dzwoniłam później do niego, ale on mnie uspokajał, mówił, bym się nie przejmowała, że z nim też wszystko w porządku. Poradziłam mu, żeby nie wracał do domu. Do Mikołaja zadzwonił wtedy Aleś Arestowicz, przyjaciel i wiceszef partii. Aleś wrócił po niego, a potem ich złapali. Wtedy, kiedy wpakowano go do suki, mężowi udało się zadzwonić do mnie po raz ostatni, mówił, że wiozą ich na Okrestinę. Uspokoiłam się, bo jeśli wieźli na Okrestinę, oznaczało to, że wpakują ich na jakieś dziesięć lub piętnaście dób, że skończy się na areszcie. Później telefon Mikołaja zamilkł – gdzieś około pierwszej w nocy.

Co było dalej?

Chaos. Resorty siłowe aresztowały kandydatów, wywoziły ich w różne miejsca – nie uzgadniano między sobą niczego. Tej nocy ludzi zabierano z domów według list, które przygotowano jeszcze przed demonstracją. Dochodziło do kuriozalnych sytuacji – mundurowi wpadali do mieszkań, zatrzymywali ludzi na oślep, a potem dzwoniли gdzieś, pytając na przykład: „Mam Dobrowolskiego. Brać go czy nie?”. „Zostaw go”. Jego akurat na żadnej liście nie było.

Potem Mikołaja przewieźli w inne miejsce, do aresztu śledczego KGB, ale wtedy nie miałam o tym pojęcia i dlatego nazajutrz rano pojechałam najpierw do Okrestiny. Tam powiedzieli mi, że nie ma u nich nikogo takiego, na Wołodarskiego to samo, nigdzie nikt nic nie wiedział – tak mówili. KGB to najohydniejsza

organizacja pod słońcem, nie spotkasz się tam z żadnymi ludzkimi odruchami. W międzyczasie dowiedzieliśmy się już, gdzie trafił Mikołaj, ale oni dalej szli w zaparte, wszystkiemu zaprzeczali.

Niedługo po tym jak go aresztowali, rozpoczął głódówkę, odmawiał też składania zeznań, podpisywania czegokolwiek. Wydał tylko oświadczenie, tłumacząc w nim, dlaczego głoduje. Poprosił panią adwokat, żeby ta przekazała je światu, bo ja wtedy z mężem nie miałam kontaktu. Adwokat się oczywiście zgodziła, ale o prawdziwych przyczynach jego głódówki nikomu nie pisnęła nawet słowa. Zamiast tego mówiła, że Mikołaj nie chciał wytłumaczyć swojego zachowania: mąż miał rzekomo powiedzieć, że nie będzie jadł i koniec, nie wysuwając przy tym żadnych żądań. Ja oczywiście w to nie uwierzyłam, to było niepodobne do mojego męża.

To była adwokat przydzielona z urzędu czy sami ją zatrudniliście?

Sami, wcześniej już broniła Mikołaja. W pełni jej wtedy ufałam, a ona cały czas mnie okłamywała. Nie mogę jej tego wybaczyć, ale też trudno osądzać ludzi – wówczas zastraszałi wszystkich, nie wiadomo, czym jej grozili.

Mąż długo kontynuował głódówkę?

Dwadzieścia cztery dni. Nie miałam wtedy od niego żadnych wiadomości, nie wiedziałam nawet, czy żyje. Przynosiłam mu tylko wodę i jakieś podstawowe produkty. On miał wtedy już ciężkie obrażenia, ale mi o tym nikt nie powiedział, głódówka sprawiła, że bardzo szybko zaczęła tracić

siły. Kiedy był w złym stanie, zabrali go z aresztu śledczego, jechali z nim gdzieś bardzo długo, mówiąc mu, że zabierają go do szpitala. Wywieźli go jednak do lasu i zaczęli straszyć, że tu już nikt go nie znajdzie, że za dzień-dwa zacznie tracić świadomość i wtedy będą mogli z nim zrobić, co tylko zechcą.

Nie dostawała Pani wtedy od niego listów, nie było żadnych przecieków?

Przez pierwszy miesiąc nic, cisza. Wreszcie przyszła małeńka karteczka z wiadomością, że zakończył głodówkę, że mam się trzymać. To wszystko. Ja z kolei mogłam mu wtedy przekazywać paczki do aresztu trzy razy w tygodniu: w poniedziałki, środy i piątki. To był jedyny sposób, w jaki mogłam mu dać znać, że nie zapomniałam o nim, że ciągle czekam. Wydaje mi się, że pierwszy list ode mnie – który trafił zresztą w międzyczasie w łapy cenzury – Mikołaj dostał wtedy, kiedy do mnie przyszedł też pierwszy od niego: to było miesiąc po aresztowaniu, 19 stycznia. Miało się wtedy odbyć posiedzenie Parlamentu Europejskiego w sprawie sytuacji na Białorusi. Początkowo warunki w areszcie KGB, gdzie trafił Mikołaj, i tak nie były najgorsze – do czasu, kiedy znaleźli się tam „nasi”, „polityczni”. Siedzieli tam głównie ludzie, z których państwo, tak to ujmijmy, chciało wydusić pieniądze...

Przedsiębiorcy?

Przedsiębiorcy. Dlatego na początku można było przekazywać dość sporo w paczkach. Sytuacja zaczęła zmieniać się dopiero pod koniec roku – wszystko po to, by nasi nie mogli czuć, że ktoś tam

po drugiej stronie muru wciąż o nich pamięta. Nosiliśmy więc, wszystkie żony „politycznych”, pakunki. I jeszcze listy. Nie wierzyliśmy co prawda, że kiedykolwiek trafią do adresatów, ale pisaaliśmy je. Nie wrzucaaliśmy ich nawet do skrzynki na pocztę, tylko przynosiśmy od razu do aresztu – żeby było szybciej. Pamiętam, że w okienku siedziała kagiebiśka Natasza. Wiedziałyśmy to, choć zwyczajowo oni nigdy nie ujawniali swoich imion.

My, żony „politycznych”, bardzo szybko się poznałyśmy i zaczęłyśmy sobie pomagać. Nie polubiły nas za to żony „gospodarczych”. One były przyzwyczajone, że zajeżdżały cudnymi autami, wychodziły szybko w drogich futrach, oddawały paczkę i koniec. Tymczasem po wyborach zaczęła pojawiać się pod aresztem zgraja bab z obłędem w oczach, które przynosiły pierożki czy koce, czyli my. „Gospodarcze” zrozumiały, że trzeba zacząć ustawiać się w kolejce, żeby przekazać paczkę, że reguły się zmieniły. Z niektórymi z tych kobiet udało mi się nawet lepiej poznać.

A kiedy dowiedziała się Pani w końcu czegoś więcej o mężu, o przyczynach głodówki?

Nie widzieliśmy się przeszło pół roku. Pierwszy raz pozwolili mi przyjść do niego 30 maja 2011 roku – wtedy powiedział mi też, że dwa czy trzy razy tłumaczył adwokatowi, dlaczego głoduje, mówił, że chce protestować przeciwko rozpędzeniu pokojowej demonstracji, że domaga się zakończenia represji wobec jej uczestników. Potem widzieliśmy się jeszcze przez chwilę, kiedy rejestrowaliśmy małżeństwo.

Co nieco też się dowiadywałam, kiedy inni wychodzili na wolność.

To znaczy, że przez pół roku trzy razy w tygodniu nosiła mu Pani paczki, niczego o nim nie wiedząc.

A co miałam zrobić? Nie można było przepuścić ani razu. To był jedyny sposób, żeby dać mu do zrozumienia, że z nami wszystko w porządku, im tam przecież wciąż grozili, że nas aresztują. Dlatego zawsze przychodziliśmy.

Jak wyglądała pierwsza paczka?

To były artykuły higieniczne – mydło, pasta do zębów, jakieś ręczniki. Część z tego strażnicy nam oddali z powrotem, coś przekazali. Nikt nam nie powiedział, co może się znajdować w paczce. Ludzie wkładali tam najróżniejsze rzeczy: miednice, płyny do mycia naczyń, szczotki do toalet. Nosili nawet czajniki.

Z aresztu w Mińsku przenieśli go potem do kolonii w Szklowie. To tam, skąd pochodzi prezydent Łukaszenka.

Tak, to jego „nadworna” kolonia. Łukaszenka tam mieszkał, służył w wojsku, potem pracował jako szef kołchozu. I tam też „wpakował” Mikołaja.

Pamiętam ten dzień, 11 czerwca. Coś mi mówiło, że właśnie wtedy wywiozą ich z Mińska. Podjechałam autem pod areszt i czekałam. Wiał lekki wiatr, wokół słychać było żuki. Nagle zza bramy dobiegł mnie odgłos włączanych silników, a po chwili już wyjeżdżały cztery duże samochody. Intuicja podpowiedziała mi, że Mikołaj musi siedzieć w środku.

11 czerwca przenieśli go do Szklowa, a już 7 lipca przyjechał tam Łukaszenka. W Szklowie, jeśli stanęłaby Pani twarzą do budynku kolonii, to po prawej stronie miałyby Pani fabrykę papieru, a po lewej zakład budowlany, tak to wygląda. Łukaszenka przyjechał tam i wygłosił słynne przemówienie o tym, żeby opozycjoniści przeprosili i zmykali raz, dwa za granicę. Obiecał im nawet pożyczyć swój samolot! Tak było, biegał pod murami kolonii i wygadywał takie rzeczy.

Po wizycie Łukaszenki w Szklowie zaczęli naciskać na Mikołaja, żeby ten się pokajał. Robili to w najróżniejszy sposób. Przydzielili go na przykład do wykonywania najtrudniejszej roboty: trafił do lasu na wycinkę drzew, musiał taszczyć ciężary. Oprócz niego pracowali tam tylko młodzi, silni chłopcy – wszyscy przed trzydziestką. Zresztą, kiedy Mikołaj uszkodził sobie rękę i nie mógł już dłużej pracować przy wycinie, cały interes zwinięto.

Czego oni w tej kolonii nie wymyślali, żeby nastawić współwięźniów przeciwko niemu. W baraku, gdzie razem z nim żyło około setki osadzonych, codziennie po kilka razy przeprowadzano rewizje, wszystko wywracano do góry nogami – tylko po to, żeby inni zaczęli krzywo patrzeć na Mikołaja. Kiedy i to nic nie dało, spróbowali podejść go w inny sposób – zaczęto go izolować. W tym czasie nawet na stołówkę chodził w towarzystwie klawiszcy. Potem trafił do Mohylewa.

Siedzi teraz w Mohylewie? Jadę tam niedługo, w razie czego mogę mu zawieźć jakąś paczkę.

Nic z tego, trzymają go w więzieniu o zaostrozonym rygorze: w ciągu roku ma prawo do dwóch krótkich odwiedzin i jednej paczki. Widzimy się przez kratę i podwójną szybę, rozmawiamy przez telefon, ale nie wyobraża sobie Pani, jaka to dla mnie radość po tym wszystkim móc go widywać – choćby przez chwilę!

W jakich warunkach odbywa teraz karę w Mohylewie?

Bez przerwy siedzi w celi, wyprowadzają go tylko na godzinny spacer na maleńki placik na dachu więzienia. Placyk jest wielkości samej celi, różni się tylko tym, że zamiast sufitu zainstalowano kraty i gęstą siatkę. W ten sposób Miłałaj nie widzi ani trawy, ani drzew, ani nawet ziemi. Poza tym umieścili go nie w części więzienia, a w innej, należącej do aresztu śledczego. Uczyniono to dlatego, żeby nie mógł się z nikim kontaktować. W więzieniu osadzzeni wspierają się, mają swoje sposoby. Miłałaja umieścili więc w takim miejscu, gdzie nawet te wewnątrzwięzienne sztuczki nie mogą mu pomóc.

Dużo Pani wie o życiu swojego męża w kolonii, a ile on wie o tym, jak Pani sobie radzi?

Wie, że żyję, ale niewiele ponadto.

Ma Pani wykształcenie medyczne i prawnicze. Wcześniej była Pani zatrudniona jako menadżer i konsultant w firmie farmaceutycznej, w sektorze prywatnym. Po ostatnich wyborach prezydenckich i zatrzymaniu męża przestała Pani tam jednak pracować – dlaczego?

To nie była moja decyzja, moi pracodawcy byli przestraszeni tą sytuacją.

Z czego w takim razie utrzymuje się Pani teraz?

Najpierw przez siedem miesięcy byłam bez pracy, po czym pracownicy organizacji broniących praw człowieka zajęli się mną. Mam jeszcze przyjaciół, oni też są nieocenieni. Kiedy jest cieplej, przychodzą, pomagają mi w pracy na kawałku ziemi, jaki mamy w Łoszyca, dzielnicy Mińska.

Będzie Pani sadzić tam kwiaty czy warzywa?

Kwiatów mamy pod dostatkiem, wystarczy. Część obsieję trawą, część zamienimy w ogródek. Z Miłałajem lubimy przyrządzać sałatkę z jarzyn albo nawet robić jeszcze prościej – bierze się warzywa, macza się je w przyprawie z oliwy z oliwek, sosu sojowego i gotowe. Nasi przyjaciele też za tym przepadają i będą mnie często odwiedzać.

To zresztą niesamowite, ile osób nam pomaga. Pamiętam, że tuż po rozpędzeniu demonstracji 19 grudnia 2010 roku przed sztabem opozycyjnego Białoruskiego Frontu Narodowego zaczęły ustawiać się kolejki ludzi chcących wspomóc tych, którzy ucierpieli. Jak na dłoni było widać, że Białorusini potrzebowali tego łyku wolności.

Mój syn też brał w tym udział. Ma dwadzieścia osiem lat, doświadczenia nabierał już w namiotowym miasteczku w czasie poprzednich wyborów prezydenckich w 2006 roku. Tym razem, nazajutrz po demonstracji na placu, kiedy ja sama nie wiedziałam nawet, jak się nazywam, on wziął wolne w pracy i zaczął działać. Odpowiedział na apel Da-

szy Kotkowskiej, która przez portal społecznościowy wezwała przyjaciół do zorganizowania pomocy dla aresztowanych i ofiar. Syn udał się do sztabu Białoruskiego Frontu Narodowego i zaczął pomagać przy zbiórkach. To wszystko zasługa młodzieży, ludzi, którzy wcześniej nie widzieli się na oczy, a potrafili błyskawicznie zorganizować się przez internet. Siedzieli tak przeszło dwa tygodnie bez przerwy. Pomagali w różny sposób. Na przykład, kiedy wypuszczano aresztowanego, wywożąc go w szczerze pole i tam zostawiając (robiono tak, żeby przy więziennej bramie nie witały go tłumy), ludzie umieli się zorganizować: wyczekiwano na policyjne transportery, jechano za nimi, po czym zabierano porzucone na pustkowiu osoby.

A to, co czytaliście w gazetach, jakoś wam pomagało?

Jeśli pyta Pani o to, czy dowiadywaliśmy się z mediów czegoś o losie naszych bliskich, to nie. To my byliśmy źródłem wiadomości – nikt nie wiedział o aresztowanych więcej od nas, choć i my sami niewiele wiedzieliśmy. Cenne były za to doniesienia o reakcjach na sytuację na Białorusi za granicą.

Co powinna w takim razie uczynić w tej sprawie Europa?

Trwać twardo, konsekwentnie przy swoim stanowisku i nie odstępować nawet na krok. Unia Europejska i tak straciła już wystarczająco dużo czasu, nie nakładając kolejnych sankcji – na Zachodzie żywno nadzieje, że wypuszczenie Sannikaua i Bondarenki jest początkiem jakichś

pozytywnych przemian. Postępując w ten sposób, Łukaszenka znowu zyskał na czasie.

A liczyliście na pomoc Rosji?

Rosja to całkiem osobna historia. Do drzwi rosyjskiej ambasady pukaliśmy nie raz, wysyłaliśmy też listy bezpośrednio do Putina i Miedwediewa, pisaliśmy nawet do ich żon. Nasze stosunki z Rosją są szczególnie. To kraj, który bardziej niż jakikolwiek inny ma wpływ na to, co dzieje się na Białorusi, i dzięki któremu ona w ogóle jeszcze istnieje. Niemniej, żadnej odpowiedzi nie dostaliśmy – to mówi samo za siebie. Natomiast listy do innych państw nigdy nie pozostawały bez reakcji. Jeśli koniec końców to jednak nic nie daje, pozostają jeszcze takie irracjonalne środki nacisku, jak na przykład mistrzostwa świata w hokeju, które mają niebawem odbyć się na Białorusi. Argumenty, które słyszę, że sport powinien żyć własnym życiem, niezależnie od polityki, przywodzą na myśl skojarzenia z olimpiadą w hitlerowskiej III Rzeszy.

Słowem, chodzimy od Annasza do Kajfasza, prosimy o pomoc kogo tylko można, chwytamy się każdej możliwości.

Z ósemki opozycyjnych kandydatów w więzieniu pozostał tylko Mikołaj...

Ze wszystkich dostał najwyższy wyrok – sześć lat. Ta wojna wciąż trwa, niektórych ludzi nie da się złamać. Statkiewicz odniósł moralne zwycięstwo. 🏆

Przełożył Zbigniew Rokita

Marina Adamowicz jest żoną opozycyjnego białoruskiego polityka i kandydata w wyborach prezydenckich w 2010 roku Mikołaja Statkiewicza.